

Krótki przewodnik po przedwojennej prasie politycznej

27 czerwca 2013

Współcześnie często narzeka się na upolitycznienie prasy. Niektórzy uważają to za zjawisko skrajnie negatywne. Tymczasem przed II wojną światową taki stan rzeczy był normą.

Dosyć często w toku debaty publicznej określa się jedno media mianem lewicowych albo prawicowych, co najczęściej wiąże się z bezpośrednim ich związkiem z daną formacją polityczną. W głowach niektórych rodaków na stałe już zagościł podział na media „salonowe” i „niepokorne”. Przy czym zwolennicy jednych i drugich drą i odzegnują od czci i wiary oponentów. Niektórzy nawołują wręcz, że dany tytuł powinien zniknąć, ponieważ „fałszuje rzeczywistość”.

W takiej sytuacji warto odwołać się do historii. Cofnijmy się do czasów kiedy prasa była u swoich szczytów, czyli do szalonych lat dwudziestolecia międzywojennego. Zaznaczam, że w tym pobieżnym szkicu, w którym lewie muskam ten jakże bogaty temat, zajmę się jedynie gazetami ukazującymi się do zamachu majowego. Po maju 1926 roku wiele się w polskiej prasie zmieniło.

Najbardziej istotną cechą przedwojennej prasy był właśnie stopień jej upolitycznienia. Jeżeli ktoś myśli, że dzisiejsze gazety opowiadają się jednoznacznie za daną opcją to jest w grubym błędzie. Na początku dwudziestego wieku każda partia (choćby liczyła kilku posłów na krzyż) uważała za punkt honoru posiadanie własnego organu prasowego. Jeżeli zaś była dostatecznie duża, to posiadała ich nawet kilka, z czego przynajmniej jeden tytuł musiał mieć zasięg ogólnopolski. Na kilku stronach (dzisiejsze numery gazet z dni powszednich

zazwyczaj są znacznie grubsze niż najgrubsze przedwojenne dodatki niedzielne) prezentowały one swoją wersję wydarzeń. Dlatego czytelnicy byli wręcz zasypywani ilością tytułów prasowych (około 20 tys. różnych tytułów).

PRASA PRAWICOWA

Dzisiaj, podobnie jak przed wojną i wbrew powszechnym opiniom, większość ogólnopolskich gazet jest związanych z prawicą. Wystarczy spojrzeć ile można znaleźć ogólnopolskich tytułów prasowych. Od „Rzeczpospolitej” po „Gazetę Polską Codziennie”, dzienników i tygodników będzie blisko dziesięć różnych tytułów.

Nie jest to wiele wobec stanu z dwudziestolecia. Sam Związek Ludowo-Narodowy w szczytowym okresie miał 27 różnych tytułów. Czytelnik o poglądach endeckich mógł zatem sięgnąć po „Gazetę Warszawską”, „Kurier Poznański”, „Gazetę Poranną 2 Grosze”, czy też „Wieczór Warszawski”, „Myśl Narodową”, „Słowo Pomorskie”. Tytuły te miały bardzo różny charakter. Na przykład „Gazeta Poranna” był typowym przykładem brukowca, natomiast już „Gazeta Warszawska”, prezentowała na swoich łamach poważną publicystykę.

Ponadto istniały również tytuły o orientacji konserwatywnej, nie związane z endecją. Warto w tym kontekście wymienić „Rzeczpospolitą” no i oczywiście organ „wileńskich żubrów” – „Słowo”. Ciekawym przypadkiem jest szczególnie „Rzeczpospolita”. Warto wspomnieć, że ten tytuł prasowy ma doprawdy magiczną moc przyciągania niejasności. W grudniu 1925 roku Wojciech Korfanty wykupił większościowy pakiet akcji w tym tytule. Raptowna zmiana właściciela nie przypadła do gustu dziennikarzom, którzy gremialnie odeszli z pracy. Historia lubi się powtarzać, nieprawdaż?

Na marginesie pragnę zaznaczyć, że jeżeli współcześni dziennikarze sądzą, że są zastraszeni przez ludzi niezgadających się z ich opiniami, to proponuję poznać

okoliczności śmierci Bolesława Leonarda Marchlewskiego. Ten prawicowy dziennikarz, redaktor naczelny „Kuriera Poznańskiego”, został zamordowany przez fanatycznego antysemitę uważającego, że gazeta kierowana przez Marchlewskiego popiera Żydów.

PRASA CENTRUM (CO PIŁSUDSKIEGO LUBIŁA)

Osobnym rozdziałem jest niewątpliwie historia „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” Mariana Dąbrowskiego. Bez większej przesady można powiedzieć, że było to prasowe imperium, do rozmiarów którego bardzo daleko jest zarówno Agorze jak i Presspublice. Koncern „IKC” wydawał łącznie kilka różnych tytułów prasowych od „Asa”, przez „Światowida” po „Tajnego Detektywa”. Był on niewątpliwie prasową potęgą która kształtowała opinię w znacznie większym stopniu niż którykolwiek z dzisiejszych dzienników. Prawdę mówiąc „IKC” stanowił w dwudziestoleciu raczej symbol prasy brukowej, choć stojącej na stosunkowo najwyższym poziomie – najlepiej ilustrowanej i stosunkowo najlepiej redagowanej.

Ponieważ polska scena polityczna była niezwykle zróżnicowana, znalazło się na niej miejsce dla gazet powiązanych z centrum, chociaż generalnie większość z nich opowiadała się za obozem piłsudczyków. Wśród pism liberalnych można wymienić niezwykle popularny „Kurier Polski”, który po „IKC” był jedną z najważniejszych gazet przedwojennej Polski. Z tym tytułem prasowym wiąże się również interesująca historia, będąca ciekawą paralełą do czasów nam współczesnych. Jeżeli ktoś sądzi, że współcześnie dochodzi do wrogiego przejęcia gazet, niech ma w pamięci, że w roku 1926 rozeszła się pogłoska, jakoby generał Władysław Sikorski starał się przejąć kontrolę nad „Kurierem Polskim”. Zamysł miał być dziecinnie prosty: dzięki kontroli nad tak silnym tytułem prasowym, możliwe miało się stać zdyskredytowanie rosnącego w siłę Piłsudskiego. Jednak Sikorski i jego ludzie mocno się przeliczyli. Większość z redaktorów „Kuriera Polskiego” zwolniła się z pracy i niedługo później założyła „Nowy Kurier Polski”, w którym

ostentacyjnie popierali „samotnika z Sulejówka”.

Inne gazety starały się nie angażować aż tak bardzo jednoznacznie. Centrowy charakter próbowały zachować „Przegląd Wieczorny” i „Kurier Warszawski” dwa bardzo silne tytuły stołeczne. Koniec końców jednak również one opowiadały się bardziej za Piłsudskim niż za innymi stronami sporu politycznego. Na stanowisku liberalnym, bez odwoływania się do żadnej konkretnej partii stał natomiast m.in. „Kurier Wileński”.

GŁOS LEWICY

Jeżeli prasa konserwatywna był w II RP potęgą, to niewątpliwie prasa lewicowa deptała jej po piętach. Nawet jeżeli przyjmiemy, że dzisiejsza prasa liberalna jest tak naprawdę lewicowa, to i tak ilość tytułów prasowych prezentuje się marnie, w stosunku do tych z okresu dwudziestolecia. Swoją dziennik albo tygodnik miała każda partia, która dopisywała sobie określenie „socjalistyczna”. Część z nich była wydawana legalnie, część zaś drukowana w tajnych drukarniach i konspiracyjnie kolportowana.

Próżno na dzisiejszym rynku prasowym szukać tytułu klasy „Robotnika” (oraz krakowskiego „Naprzodu”). Ten organ Polskiej Partii Socjalistycznej był najważniejszym lewicowym pismem II RP. Godnym odnotowania jest fakt, że na łamach „Robotnika” albo „Naprzodu” artykuły pisała większość późniejszych polityków sanacji, a redaktorem naczelnym tego pierwszego tytułu był przez długie lata jeden z najwybitniejszych polityków PPS, Mieczysław Niedziałkowski.

Niektórzy z publicystów mówią dzisiaj dosyć często o „cenzurowaniu” prasy. Choć standardy wolności słowa były w dwudziestolecie zupełnie inne, to i wówczas dochodziło do brutalnych ingerencji cenzorskich. W roku 1919 władze Wielkopolski zakazały kolportowania „Robotnika” uznając je za pismo „bolszewickie i żydowskie”. W późniejszych latach

konfiskata numerów i puste miejsca po nieprawomyślnych artykułach zakwestionowanych przez cenzurę, były praktycznie normą.

PPS utrzymywał również lokalne gazety w Białej („Wyzwolenie Społeczne”), Poznaniu („Tygodnik Ludowy”), Piotrkowie („Trybuna Robotnicza”), Częstochowie („Częstochowianin”), Lwowie („Dziennik Ludowy”), Łodzi („Łodzianin”), a także silny „Głos Poznański”. Do największej lewicowej partii należały również takie tytuły jak „Głos Kobiet”, „Niedola Chłopska” i „Prawo Ludu” oraz teoretyczny tygodnik „Przedświt” i tygodnik „Chłopska Dola”. Część z nich kolportowano na cały kraj, część miało tylko lokalny charakter.

POZOSTALI

Ponieważ na polskiej scenie politycznej partie ludowe odgrywały istotną rolę, to również i one posiadały własne tytuły prasowe. Warto odnotować, że w wydawanych przez nich „Wyzwoleniu” „Piaście” czy „Gazecie Ludowej”, niejednokrotnie zdarzały się artykuły o charakterze silnie antyklerykalnym. Ludowcom nie udało się jednak uzyskać mocniejszej pozycji na rynku prasowym, a szczególnie sromotną klęskę ponieśli na terenie Wielkopolski, gdzie zostali dosłownie rozgromieni przez prasę prawicową.

Demokratyczna II RP pozwalała na legalne kolportowanie tylko części pism komunistycznych. Tytuły takie jak „Nowa Trybuna”, „Sztandar Socjalizmu”, „Przełom” czy „Czerwony Sztandar” powstawały i znikały, systematycznie nękane przez administrację państwową. Kiedy powstał „Żołnierz-Robotnik”, to ledwie zdołał zagościć na rynku, a rząd już go zlikwidował. Podobnie, gdy z maszyny drukarskiej wypuszczono „Kolejarza-Komunistę” zaraz musiano go zamykać. Wielokrotnie też ich redakcje padały ofiarą samosądów. Komunistyczni dziennikarze musieli się liczyć z dotkliwymi atakami zarówno ze strony innych ugrupowań, jak i... policji. Komunistyczna Partia Polski, podobnie jak stronnictwa chłopskie nie uzyskały silnej pozycji

na rynku prasowym.

Przedwojenny rynek prasowy to olbrzymi teatr. O wiele brutalniejszy i o wiele bardziej bezwzględny niż możemy to sobie dzisiaj wyobrazić. Krzykliwe nagłówki pojawiały się codziennie, a na ich łamach gazet dochodziło do prawdziwych batalii. A poziom upolitycznienia? Cóż, poziom upolitycznienia gazet w stosunku do sytuacji dzisiejszej był niewyobrażalnie większy.

Autor: Paweł Rzewuski

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0 PL](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/)